

**BEZ
SZANS**

MIA SHERIDAN

BEZ SZANS

TŁUMACZENIE MATYLDA BIERNACKA



OTWARTE

KRAKÓW 2017

Tytuł oryginału: *Kyland*

Copyright © 2015 by Mia Sheridan

Copyright © for the translation by Matylda Biernacka

Opieka redakcyjna: Natalia Karolak

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Anna Brynkus-Weber / d2d.pl

Korekta: Ewa Polańska / d2d.pl,
Anna Woś / d2d.pl

Łamanie: Małgorzata Poździk / d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: mężczyzna – © Gabriel Georgescu / Shutterstock.com,
las – © All-stock-photos / Shutterstock.com

Fotografia autorki: © Jenny Gaskins / Jenny G Photography

ISBN 978-83-7515-297-5



Dystrybucja: SIW Znak
Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Książkę dedykuję Shirley.
Dziękuję, że jesteś moim fanem numer dwa
i że urodziłaś mojego fana numer jeden*

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tenleigh

W następnym tygodniu w wietrzną niedzielę zeszliśmy z Marlo ze wzgórza. Ona szła do pracy, a ja do miejskiej biblioteki.

– Nie siedź tam za długo, dobrze? – powiedziała Marlo, kiedy miałyśmy się właśnie rozstać.

– Dobrze. Potrzebuję tylko paru książek.

Z całych sił starałyśmy się nie zostawiać mamy zbyt długo samej w przyczepie. Nie zachowywała się impulsywnie, o ile zażywała lekarstwo zgodnie ze wskazaniami. Ale nie byłyśmy pewne, czy to robi. Nie mogliśmy wepchać go jej na siłę do gardła, a liczenie pastylek nie dawało rezultatów. Dobrze wiedziała, że musi ukryć niezażyte pigułki, jeśli postanowiła odstawić lekarstwo. Tak czy inaczej, mama była, nazwijmy to, delikatna. Kiedy nie spała, nie lubiła być sama. Szczercze mówiąc, to było wykańczające, ale właśnie to przypadło nam w udziale, robiliśmy więc, co trzeba, bo nie miałyśmy innego wyboru.

Zastanawiałam się często, jak to jest mieć rodziców, którzy dbają o ciebie, a nie na odwrót.

Wyszedłszy na główną ulicę, zobaczyłyśmy idącego w naszą stronę mężczyznę zatopionego w trzymanym w dłoni telefonie.

– O Boże, zawracaj! – syknęła Marlo.

– Hmm?

Nagle mężczyzna podniósł wzrok.

– Przepraszam – powiedział, kiedy zawadził o mnie ramieniem, i zrobił spory krok w lewo. – O, cześć. Tenleigh, prawda?

Mogłabym przysiąc, że usłyszałam, jak Marlo wydaje z siebie rozdrażniony jęk.

– Tak. Dzień dobry. Doktor Nolan?

Zerknęłam na Marlo. Na jej twarzy gościł niewyraźny, sztuczny uśmiech. Do tej pory nie poznałam osobiście doktora Nolana, ale widywałam go i wiedziałam, że był dentystą, który otworzył praktykę w Evansly. Przyjechał tu najwidoczniej, by ratować appalaskie cukrowe usta. Śmiały zamiar, może uda mu się rozjaśnić parę uśmiechów. Nie mogłam powstrzymać dreszczyku obrzydzenia na widok niemowlaka ciągnącego z butelki napój gazowany. Nie muszę dodawać, że nie należało to do rzadkości. I fama niosła, że większość jego klientów, jeśli w ogóle mogła czymś zapłacić, płaciła w takiej walucie jak pędzony w domu bimber. Mimo to jeszcze nie wyjechał. I był zaskakująco trzeźwy.

Druga rzecz, jaką wiedziałam o doktorze Nolationie, to że Marlo zaliczyła z nim jedną noc kilka miesięcy temu, kiedy w niedzielne popołudnie wpadł do Ala na piwo.

I że od tamtej pory go ignorowała.

– Mów mi Sam – powiedział, zerkając na Marlo. – Cześć, Marlo. Jak się masz? – spytał, poprawiając na nosie okulary.

Szczerze mówiąc, miał prawdziwy urok *à la* Clark Kent: wyraźny przedziałek, okulary w czarnej oprawie i koszulę

zapiętą pod samą szyję. Ale mimo to był przystojny i wyglądał na wysportowanego. Rzuciłam okiem na Marlo i uniosłam brew.

– Cześć, Sam. W porządku. A ty? – odparła, posyłając mu szeroki, promienny uśmiech, który był całkowicie sztuczny.

Jeśli mężczyzna zdolny jest do omdlenia, to właśnie to zrobił.

– Hmm, dobrze. Wpadałem kilkukrotnie do Ala, ale cię nie było – powiedział, a jego policzki nabrały rumieńców. Urocze.

Wyszczrzyłam się do Marlo.

– O. Szkoda, że się rozminęliśmy, Sam. Musisz być bardzo zajęty w przychodni. – Marlo mówiła powoli z ostentacyjną oficjalnością.

Zmrużyłam oczy, usiłując odczytać coś z jej twarzy.

– O, a, tak. Jestem zawałony po uszy. – Nastąpiła niezręczna cisza, którą postanowił przerwać. – Próchnica stanowi w rejonie Appalachów prawdziwą epidemię. – Zerknął to na mnie, to na Marlo. – Oczywiście wasze zęby są piękne. Musicie dobrze o nie dbać. Higiena jamy ustnej jest bardzo... Pewnie porządnie nitkujecie zęby, to świetnie. Głównym problemem są napoje gazowane. I zła dieta, rzecz jasna... – Wykrzywił się, jakby ta rozmowa sprawiała mu ból.

Powstrzymałam cisnący mi się na usta uśmiech.

– Dostrzegłyśmy ten problem. To, co robisz, jest godne podziwu.

Pokręcił głową.

– O nie, to ja najwięcej na tym zyskuję. Dwunastolatek wchodzi do mojego gabinetu z ustami pełnymi próchnicy, a wychodzi z pięknym uśmiechem. Cóż, trudno wyjaśnić to uczucie. Mam możliwość odmienienia czyjegoś życia, rozumiesz? – Jego oczy pojaśniały, a głos pełen był entuzjazmu. – Nic się z tym nie równa. – Widać było jego zapał do tego przedsięwzięcia. Urocze.

– Skąd jesteś, Sam? Słyszę obcy akcent.

Zachichotał.

– Z Florydy. Dla mnie to wy macie obcy akcent. – Zerknął na Marlo. – Podoba mi się.

O rany.

Popatrzyłam na Marlo, która zdawała się nieporuszona.

– No dobrze – powiedziała – muszę iść do pracy, życzę ci więc miłego dnia, Sam. Tenleigh, do zobaczenia w domu.

– O, idziesz do pracy? – spytał Sam. – Pozwól, że ci podwiozę. I tak wracam do Evansly. Podrzucałem tylko wizytówki do domów w tej okolicy, informujące ludzi, że przyjmę ich za darmo, gdyby byli zainteresowani...

Marlo zawahała się, więc się wtrąciłam.

– Świetnie! Co za łut szczęścia, Mar. Do zobaczenia w domu.

Zrobiła do mnie wielkie oczy, ale do Sama się uśmiechnęła.

– Okej, świetnie. Dzięki, Sam.

Odwrócili się w kierunku jego samochodu, Sam mi pomachał, a Marlo posłała mi spojrzenie mówiące: „Jeszcze pogadamy”. Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam do biblioteki, śmiejąc się do siebie. Albo Marlo wyjątkowo starała się nie lubić Sama, albo, no cóż, naprawdę go nie lubiła. Na moje oko to pierwsze. Widziałam Marlo z mężczyznami, o których wiedziałam na sto procent, że nie jest nimi zainteresowana, i nie zachowywała się w ten sposób. Nie ukrywała też przed Samem swojego uśmiechu. To mi się podobało najbardziej – czuła się przy nim ładna.

Pociągnęłam drzwi wejściowe do biblioteki, która właściwie była jedynie małą budą z paroma regałami w środku, na których tłoczyło się tyle książek, ile dało się pomieścić. Kilka lat temu pomogłam jednemu z nauczycieli utworzyć na nią fundusz i ludzie dzielili się tym, czym mogli. Budżet był skromny i nie wystarczył na wiele książek, ale lepsze to niż nic. I zazwyczaj było tu pusto. Dlatego zaskoczył mnie widok

kogoś stojącego przy regale pod tylną ścianą i kartkującego książkę.

Weszłam cicho i w miarę zbliżania się dostrzegłam, że to Kyland. Cholerny Kyland. Nie mogłam pomylić tych szerokich pleców i karmelowobrazowych włosów zwijających się w pierścionki na karku. Wyglądało na to, że odstawia lekturę na półkę. Odchrząknęłam, a on odwrócił się do mnie z książką w dłoni. Mój wzrok powędrował od zaskoczonego wyrazu jego twarzy do tytułu, który trzymał w ręce. *Tkacz z Raveloe*.

Oparłam się biodrem o jeden z regałów i skrzyżowałam ręce na kilku warstwach swetrów, czując, że kiedy tak go obserwuję, zalewa mnie fala satysfakcji. No proszę.

Kyland zmrużył oczy i oparł się plecami o półkę, prz gryzając dolną wargę. Przez chwilę staliśmy tak, mierzając się wzrokiem w jakimś dziwnym impasie, mimo że tylko ja miałam prawo do rozgoryczenia.

– Mała dziewczynka. To ją znalazł tamtego zimowego wieczoru. Porzuconą w śniegu – odezwał się.

Skinęłam powoli głowę, przebiegając wzrokiem po jego włosach i twarzy, tak niedbale przystojnej. Nasze spojrzenia się spotkały.

– Nadała jego życiu sens. Dzięki niej poczuł, że żyje, tak jak nigdy wcześniej.

Wciąż się we mnie wpatrywał.

– A potem stracił całe złoto, które zarobił, odkąd skazał sam siebie na wygnanie.

Wzruszyłam ramionami.

– Tak, i nie miało to znaczenia. Nie dbał o nie, odkąd znalazł Eppie. Stała się jego największym skarbem. Nadała sens jego samotnemu życiu.

Coś w spojrzeniu Kylanda uległo zmianie. Odwrócił się powoli i odstawił książkę na swoje miejsce. Musiał wypożyczyć ją

tydzień temu – po naszej rozmowie, kiedy ją oddałam. Znow zwrócił się w moją stronę.

– Masz zamiar wypożyczyć coś jeszcze? – spytałam.

Pokręcił głową.

– Nie. – Zabrzmiało to obcesowo i pewnie.

Wyminęłam go, żeby odstawić książkę, którą właśnie skończyłam. *Najbardziej niebieskie oko*. Nachyliłam się do Kylanda, by odłożyć ją na swoje miejsce. Nie zareagował najdrobniejszym ruchem na moją bliskość.

Odchrząknęłam.

– Jeśli chciałeś mi udowodnić, że nie jesteś prostackim analfabetą, za jakiego cię wzięłam, to...

– Tenleigh.

Na dźwięk jego schrypniętego głosu spojrzałam mu prosto w oczy. Zamilkłam. Na twarzy Kylanda malowało się jakieś zacięcie i stanowczość. Powietrze zgęstniało od napięcia. Stałimy oboje w milczeniu. Kyland zaciskał szczęki. Przysunął się do mnie jeszcze bliżej, moje serce zaczęło szaleńczo dudnić, a oddech stał się urywany. Dobry Boże, był taki piękny, czułam zapach jego skóry, czysty i męski, z leciutką nutką soli. Chciałam otworzyć usta i wciągnąć otaczające powietrze, tak by poczuć jego smak na języku. Żołądek mi się ścisnął, a wzrok stracił na chwilę ostrość. Kyland wciąż się we mnie wpatrywał, jakby zauważył język mojego ciała, i wyglądał na... wścikłego? Rozemocjonowanego. Wyprostowałam się i uniosłam brodę. Nie rozumiałam, co się dzieje, ale cokolwiek to było, nie miałam zamiaru się wycofywać.

Kyland przysunął się do mnie blisko, aż jego twarz znalazła się tuż nad moją. Podniosłam na niego wzrok, a krew w moim ciele szalała.

– Mam zamiar stąd wyjechać, Tenleigh. Nic mnie nie powstrzyma. Ani ty, ani nic innego. Ani nikt inny. Słyszysz? – Jego głos pełen był napięcia, a wzrok zaciekły i zły.

Oddech wydobywał się z moich ust szybko i z trudem, gdy usiłowałam zapanować nad łomocącym sercem. Nie potrzebowałam, żeby tu zostawał. Nie chciałam, żeby czuł się wobec mnie z jakiegokolwiek powodu zobowiązany. Ale chciałam, żeby mnie pocałował. W tej sekundzie. Przeniosłam wzrok na jego usta i gwałtownie wypuściłam powietrze. Kyland wydał z siebie zduszony, gardłowy jęk i przysunął usta do moich.

– Kiedy stąd wyjadę, o wszystkim zapomnę. O wszystkim, co wiąże się z tym miejscem. Nawet o tobie.

A czemu by nie miał? Nic dla niego nie znaczyłam.

– Okej – wydyszałam.

Zastygł na ułamek sekundy z płonącym wzrokiem, a potem jego usta uderzyły o moje. Ujął moją twarz w dłonie, palce wplótł we włosy i wepchnął mi język do ust. Miałam wrażenie, że całe moje ciało eksploduje, kiedy zarzuciłam mu ręce na szyję i przycisnęłam się do jego twardego ciała, wtapiając się w nie. Wydał z siebie umęczony jęk i przechylił dłońmi moją głowę. Jego język wsuwał się coraz głębiej w moje usta. Ja też jęknęłam, nasze języki tańczyły, igrały, droczyły się. Oderwałam się od jego ust, łapiąc powietrze, w czasie gdy on przygryzał i całował moją szyję.

– Tak, Kylandzie, nie przestawaj – błagałam. I gdyby położył mnie tam na podłodze i chciał się ze mną kochać, pozwoliłabym mu. Bliska byłam błagania, by to właśnie zrobił. Tętno wywołało pulsujące pragnienie między moimi udami. Piersi stały się ciężkie i obolałe.

Nasze usta znów się połączyły. Jego język wsuwał się i wysuwał z moich ust, jakby mnie pragnął. Byłam w siódmym niebie. Chciałam, żeby ten pocałunek trwał w nieskończoność.

Nagle Kyland oderwał się ode mnie, z trudem łapiąc oddech. Wyglądał na oszołomionego i wciąż nieco wkurzonego, a dowód podniecenia wybrzuszał mu dżinsy.

– Ja pierdołę, Tenleigh. Co ty wyprawiasz?

Moja krew wystygła równie szybko, jak zapłonęła zaledwie chwilę temu. Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem szeroko otwartymi oczami.

– Co... co ja wyprawiam?

I tak po prostu Kyland odwrócił się na pięcie i wyszedł z Biblioteki Publicznej Dennville, zostawiając mnie samą i zdezorientowaną, a moje usta i serce obolałe.

Znów pozwoliłam mu to zrobić! Co było z nim nie tak? Co było ze mną nie tak? Oparłam się plecami o półkę i przysięgałam sobie nigdy więcej nie pozwolić Kylandowi Barrettwi na upokarzanie mnie. Nie tylko on planował się stąd wynieść. Czemu w ogóle się nad nim zastanawiałam? Rany, jak ja go nienawidziłam.

✱

Coś mi mówiło, że nie powinno się myśleć dniami i nocami o kimś, kogo się nienawidzi.

Szlag.

Przez cały kolejny tydzień ostentacyjnie unikałam Kylanda Barretta. Raz zobaczyłam go na końcu korytarza szkolnego i skręciłam gwałtownie, by nie musieć go mijać, innym razem wyjrzałam przez okno klasy i dostrzegłam go spacerującego na podwórzu z Shelly Galvin. Odwróciłam szybko wzrok, bo moje obolałe serce ogarnęła zazdrość, przez co poczułam się zła i krucha. Z całowaniem jej jakoś nie miał problemu.

Swoją drogą to właśnie dlatego planowałam unikać tutejszych mężczyzn – dzielili się na zadufanych w sobie panów wszechświata i prowincjonalnych frajerów. Przez ułamek sekundy sądziłam, że Kyland jest inny, ale nie był. Upokorzył mnie z pełną premedytacją, wiedząc, że mi się podoba. Cóż, nigdy więcej. Jak widać, istniała w okolicy cała masa dziewczyn

szczęśliwych, że się nimi bawi. Nie zanosilo się, żeby w najbliższym czasie miał umrzeć z samotności. Widziałam to na własne oczy. A jednak siedziałam, gryząc ołówek, niezdolna do wymazania go ze swojej głowy. Cholera – podobał mi się. Pozwoliłam sobie myśleć o nim, kiedy kładłam się do snu na małej kanapie w naszej przyczepie. Wyobrażałam sobie, że patrzy mi prosto w oczy, tak jak robił to, kiedy podziwialiśmy zachód słońca. Wyobrażałam sobie, że mnie dotyka, całuje, a nawet się ze mną kocha. Wyobrażałam sobie, że widzę go bez koszuli i zsuwam palce po jego cieplej, opalanej skórze... Mimo że umysł ostrzegał mnie, bym przestała to sobie wyobrażać, sama myśl powodowała, że prąd przeszywał moje serce. Przestań, Tenleigh. Po prostu przestań, idiotko. Głupia, naiwna dziewczyno.

Plan Koniec z Facetami: oficjalnie przywrócony.

Po szkole poszłam do biblioteki, żeby nie natknąć się na Kylanda na drodze prowadzącej do jego domu. Wiedziałam, że nie będzie wypożyczał więcej książek. Byłam bezpieczna – i lubiłam to miejsce. Czułam się tam jak we własnym prywatnym gabinecie. Mogłam siedzieć przy małym stoliku na tyłach, rozłożyć zadania domowe i korzystać z prywatności, której potrzebowałam. Nikt w mieście oprócz mnie nie był szczególnie zainteresowany czytaniem. I było tu znacznie wygodniej niż przy małym rozkładanym stoliku w naszej przyczepie, który skrzypiał za każdym razem, kiedy opierałam się, żeby coś napisać.

Mój oddech parował we wczesnogrudniowym powietrzu, kiedy szybkim krokiem przemierzałam drogę do niewielkiego budynku oddalonego czterysta metrów od domu. Wpadłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi, wdychając lekko stęchłe powietrze. Nie było tu ogrzewania, ale było cieplej niż na zewnątrz i z pewnością znacznie cieplej niż w naszej pełnej przeciągów przyczepie. Rozłożyłam rzeczy na stoliku na

tyłach i zabrałam się do odrabiania zadań. Nie spieszyłam się z nimi, bo nie chciałam stąd wychodzić, szczęśliwa w swoim odosobnieniu.

Potrzebowałam nowej książki. Wstałam, żeby je przejrzeć, i zauważyłam niewielki kawałek białego papieru wystający z *Najbardziej niebieskiego oka*, które zwróciłam tuż przed pocałunkiem Kylanda. Na wspomnienie pocałunku wydałam z siebie dziecinny odgłos zniesmaczenia – tylko dlatego, że sprawił mi przyjemność – po czym sięgnęłam po książkę. Wyciągnęłam pasek papieru. Na widok drobnego pochylonego pisma podskoczyło mi serce.

Jedna z najbardziej ponurych książek, jakie kiedykolwiek czytałem, niedająca ani cienia nadziei. Sprawiała, że miałem ochotę rzucić się z najbliższego klifu.

KB

Zamarłam, czytając zdanie powtórnie. KB. Kyland Barrett. Czyżby próbował być zabawny? Ogarnęła mnie złość, usiadłam więc, żeby odpowiedzieć:

Tylko kmiot nie dostrzegłby prawdziwego przesłania tej powieści, czyli że wszyscy prowadzimy wewnętrzny dialog, który nas albo więzi, albo wyzwala. Jeśli chodzi o klif, proponuję Skarpę Truposza – już sama nazwa brzmi obiecująco, gdy ma się tego rodzaju plany. Ponadto jest najwyższy w okolicy, a u jego podnóża rozpościera się wiele postrzępionych skał, które w zasadzie gwarantują zejście.

TF

Uśmiechnęłam się lekko i wsunęłam kartkę z powrotem do książki, pozostawiając kawałek wystający u góry. Następnie przejrzałam lektury, które już czytałam, w poszukiwaniu

najbardziej depresyjnej, niepokojącej, jaką mogłam znaleźć, aż w końcu wyciągnęłam z półki *W Brighton*, pozostawiając wyraźną lukę w miejscu, gdzie stała.

Dwa dni później przyniosłam ją z powrotem, a po kolejnych trzech dniach, kiedy wróciłam do biblioteki, wystawała z niej karteczka:

Przyjemna lektura. Szczególnie zaimponowała mi postać Pinkiego.

KB

Wydałam z siebie odgłos zniesmaczenia i nabazgrałam szybko:

Tylko ktoś naprawdę niezrównoważony może być pod wrażeniem nikczemnego, socjopatycznego przywódcy gangu, który okrutnie niszczy piękną, porządną, kochającą go dziewczynę. Co słyszeć na Skarpie Truposza?

TF

Następnie przejrzałam półkę i wybrałam książkę, która była nie tylko przygnębiająca, ale też obrzydliwa.

Pięć dni później, *Droga*:

Ekscytująca opowieść o apokalipsie... przetrwaniu... kanibalizmie... podziemnych bunkrach. Książka, którą każdy mężczyzna pochłonie!

KB

Zmarszczyłam brwi.

Rozumiem tę gierkę ze słowem „pochłonie”. Naprawdę jesteś psycholem.

TF

Poszłam na całość, wybierając prawdopodobnie najbardziej przygnębiającą książkę, jaką kiedykolwiek napisano.

Cztery dni później, *Szklany klosz*:

Dobra, dobra. Przejrzałam Cię.

KB

Roześmiałam się w głos wbrew samej sobie. I niech go szlag, usiłowałam trzymać się swojego gniewu, a teraz stałam tu uśmiechnięta do jego cholernego liściku. Uśmiech zniknął powoli z mojej twarzy. Przejrzałam półkę w poszukiwaniu kolejnej książki, a melancholia ścisnęła moje samotne serce. Oparłam się plecami o regał, przygryzając wargę. Podobał mi się. I co z tego? Nie wiedziałam, czemu się ze mną bawił. Ale widziałam, co się dzieje, kiedy kobieta zadurzy się w mężczyź- nie, który nie jest nią zainteresowany, i nie miałam zamiaru się w to pakować. Nie miałam. Lepiej zostawić sytuację taką, jaka jest. Nie będę zachęcać go do tej gry. To tylko zrodzi nadzieję, a w kwestii Kylanda nadzieja nie była czymś, na co chciałam sobie pozwolić. Westchnęłam i zebrałam rzeczy, po czym wyszłam z biblioteki i skulona przed zimnem zaczęłam brnąć pod górę.